Rok I. | Kraków, dnia 1 Stycznia 1883. | Nr. 1.

PRZYSZŁOŚĆ

Organ poświęcony młodzieży polskiéj.

Przedpłata wynosi: dla Publiczności:
w miejscu: rocznie . . zł. 4.50; półrocznie . . 2.25
z przesyłką pocztową: rocznie złr. 5.—, „ mrk. 9.—, „ fr. 11.—; półrocznie złr. 2.50, „ mrk. 4.50, „ fr. 5.50

Przedpłata wynosi: dla ucz. się młodzieży:
w miejscu: rocznie . . . złr. 2.50; półrocznie . „ 1.25
z przesyłką pocztową: rocznie złr. 3.—, „ mrk. 5.30, „ fr. 6.50; półrocznie złr. 1.50, „ mrk. 2.70, „ fr. 3.25

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.
Adres Redakcyi i Administracyi: Kraków, Ul. Św. Anny l. 5. (naprzeciw Coll. Pphisicum).
Ajencya: u p. Kuklińskiego w hali Sukiennic l. 5. — Numer pojedynczy 25 ct.

Juliusz Słowacki w piśmie swém „O potrzebie idei“ taką opowiada przypowieść:

Pewnéj wiosny, gdy lody puściły a mosty były zerwane, ukazała się ludowi zgromadzonemu nad rzeką na drugim brzegu Ojczyzna, wołająca, aby ją wzięli jéj synowie wierni i przeniósłszy postawili między sobą. Lud spostrzegłszy matkę swoją, zapragnął jéj ogniecie. Ale nie było nikogo ktoby umiał pływać, i rospacz lud ogarnęła. Więc rzucali się jedni w fale i tonęli, drudzy szli aż po szyję, a dna nie znalazłszy wracali, inni posłali do Francyi po inżynierów, aby mosty stawiać. Tymczasem zjawienie zniknęło. Został po niem żal i zwątpienie, obwiniali jedni drugich i swarzyli się. A byli tacy, którzy cieszyli naród nadzieją, że wróci matka w czas pogodniejszy, kiedy mosty będą lub lód zetnie fale. Dlaczegoż miałaby znowu taki czas obierać? I wyczekując bezczynnie wołali głośno na zjawisko: „pokaż się nam znowu!“ — „A jeden człowiek był, który nie krzyczał, owszem naganiał owe próżne, bezsilne krzyki i wołania, a sam co ranek, rozebrawszy się do naga, biodra swoje przepasywał i rzucając się do wody, mordował się z Wisły falami... aż mu pierś ową pracą rozrosła się a oddech posilniał, tak, że nietylko na wodzie, ale pod wodą mógł zostawać całe godziny“. Inni zaś uczyli się pływać od swoich profesorów... — I znowu ukazało się zjawienie, i znowu powtórzyło się to co wprzódy. Aż człowiek ów rzucił się w toń i przemógłszy fale powrócił — z Ojczyzną.

Przypowieść jest jasna. Było to wszystko, prócz owego człowieka i — prócz końca. My chcemy być owym człowiekiem, bo pragniemy koniec spełnionym ujrzeć. Sztandaru politycznego nie wywieszamy, nie rzecz to młodzieży, ale chcemy, kiedy nam go życie w ręce poda, umieć go dźwignąć. Pracować chcemy, aby nam się „pierś rozrosła, a oddech posilniał“, chcemy narodowemu sztandarowi wzbudzić chorążych.

Społeczeństwo przygotowuje młodzież do życia przez naukę. Ale to nie dosyć; bo w przypowieści Juljusza nie wywiedli z toni Ojczyzny ci, co „uczyli się pływać od profesorów“. Zbyt często bowiem, zamiast z biblioteki ludzi, z ludzi biblioteki robi wychowanie. A nie bibliotek ale ludzi narodowi potrzeba, ludzi rozumnych, trzeźwych, wykształconych gruntownie nie po wierzchu, a czujących się obywatelami, ludzi wiedzących czego pragną i umiejących pragnąć czegoś, nie zaś obierających program i stronnictwo przez węzełki, ludzi z wyrobionym charakterem, w działaniu konsekwentnych a w wytrwaniu niezłomnych. Tacy to zdrowi i silni ludzie podniosą sztandar ciężki przyszłości i utrzymają go, a nie wybiorą chorągwi i haseł dojutrków, bądź oportunistycznych i służalczych, na dzień jeden ukutych, bądź wznoszonych dla tego, że błyszczące jak malowany ułan, a lekkich i pełnych ckliwego romantyzmu, bądź szanownych rzekomo, że stare, bądź wreszcie modą nęcących, treść niech będzie jaka chce. Takie sztandary ludzi rozumnych i wyrobionych, a silnych i ufnych w siebie nie uwiodą, wygoda ich nie spowije, blichtr nie złudzi. Oni nie zapragną wywczasów, nie pochlubią się blichtrem, ale jak ów Greczyn z dumą powiedzą: „mocniejszy jestem, dajcie mi cięższy oręż“. Bo ludziom takim poczucie własnéj siły roskoszą, siła zaszczytem i chlubą. Siła taka to nasza idea!

Téj to idei podjęliśmy propagandę.

Rozwój filozoficznéj myśli.

(Ze wspomnień uniwersyteckich)

skreślił

Edward Przewóski.

I.

Gdy wycierałem jeszcze ławy gimnazyalne, sama nazwa filozofia, wywierała na mnie niepospolity urok. Wyobrażałem sobie, odczuwałem raczéj, że jest ona kwintesencyą ludzkiéj wiedzy, że wczytanie się w jéj tajemniczą księgę pozwoli mi zedrzeć sfinksową zasłonę z zakrytego oblicza prawdy absolutnéj i zaspokoi żądzę poznania.

Gdy tedy ukończywszy gimnazyum znalazłem się na uniwersytecie w Warszawie, ku filozofii przedewszystkiem zwróciłem swą ciekawość. Było to po zamienieniu się polskiéj Szkoły Głównéj na rosyjski Uniwersytet warszawski. Przeważające usposobienie kazało mi bez wahania wstąpić na wydział prawny,

jako na taki, który najwięcej dawał materyału do rozstrzygnięcia społeczno-politycznych i narodowych zagadnień. Formalistyka jednak i oschłość wykładów prawniczych pohamowały wkrótce mój zapał dla prawa. Czułem, że dla odgadywania zagadek społecznych trzeba czegoś więcéj, czegoś świeższego i żywotniejszego, jakichś idei ogólniejszych, które wniosłyby życie w martwe prawnicze formułki.

Zadanie to ułatwiał nawet sam obowiązujący program wykładów. Jako juryści obowiązani byliśmy do słuchania i zdawania egzaminów także z przedmiotów pomocniczych, między któremi prócz obowiąskowych wykładów języka rosyjskiego była i filozofia.

Za czasów Szkoły Głównéj, na wydziale prawnym dwa szczególniéj wykłady robiły furorę, jak o tem tradycya wydziału mówiła: wykłady filozofii eklektycznego idealno-realisty Struvego i encyklopedya prawa Kasznicy. Gdy jednak przybyłem na wszechnicę, Struve zajęty doktoryzacyą na jednym z uniwersytetów rosyjskich, nie wykładał; prof. Kasznica wykładał jeszcze nawet po polsku. Z niecierpliwością oczekiwałem rozpoczęcia wykładu, pierwsze już jednak lekcye rozczarowały mnie. Na wykładach znalazłem się jak na niemieckiém kazaniu. Słyszałem jakiś szum bombastycznych frazesów, płynęły jakby fale jakichś teoryi, utkanych specyalną terminologią.... bardzo jednak niewiele z tego wchodziło mi do głowy.

Ażeby ułatwić sobie zrozumienie wykładów, które w niełatwéj do rozmotania osłonie profesorsko-książkowych poglądów mogły przecież zawierać jakąś treść namacalną, zwróciłem się do podręcznika encyklopedyi prawa Ahrensa, przełożonego na język polski. I z Ahrensem jednak nie lepiéj mi poszło. Przeczytałem grubą księgę, język jéj jednak pozostał dla mnie niezrozumiałym. Pochodziło to ztąd przedewszystkiem, jakem późniéj zrozumiał, że przyzwyczajony wcześniéj do samodzielnego, krytycznego myślenia, nie starałem się wyuczać myśli i frazesów na pamięć, machinalnie i biernie, lecz usiłowałem każde naukowe pojęcie jasno i racyonalnie sobie wytłómaczyć i zrozumieć. Analizowałem tedy po swojemu kabalistyczny język metafizyczno-niemieckiéj filozofii prawa, metafizyka ta jednak, brana pod skalpel zdrowego rozumu dawała mi w rezultacie tylko widoczne nonsensa i sprzeczności. Późniéj dopiéro zrozumiałem, że w podobnych systematach naukowych trzeba przedewszystkiem uwierzyć w pewne tezy, twierdzenia, postulata i potém już tylko snuć wnioski bez końca i wikłać je między sobą.

Wtedy jednak tego jeszcze nie wiedziałem i dla wyjaśnienia sobie filozofii prawa, zwróciłem się do czystéj filozofii. W języku polskim mieliśmy podówczas, jedyną zdaje się do dziś dnia historyę filozofii Schweglera, uzupełnioną krótkim szkicem o filozofii w Polsce przez tłómacza jéj ks. Krupińskiego.

I Schwegler jednak nic mnie nie nauczył. Czytając go tażsamą metodą co i Ahrensa, do tych samych dochodziłem rezultatów. Zniechęcało mnie to mocno do owéj królowéj nauk, filozofii.

Na szczęście wkrótce znalazłem sposobność zapoznania się z inną filozofią. Wykłady filozofii obowiązujące nas na I-ym kursie prawa spóźniły się nieco, przybyć miał bowiem nowy profesor, świeżo zamianowany na tę katedrę, czysty rosyanin, rodem aż z Kazania, niejaki Troicki. Nie zbyt chętnie szliśmy na te wykłady, raz jako na pomocnicze tylko a obowiąskowe, prócz tego, że wykładający był moskalem, przysłanym do zruszczonéj świeżo wszechnicy.

Prof. Troicki rozpoczął swe wykłady kursem psychologii. Poszliśmy. Za przedmiot wykładów w owém półroczu obrał on prawa kojarzenia się objawów duchowych. Odrazu pociągnął nas sam sposób wykładu. Nowy nasz profesor wychowany był na wzorach angielskich, najbliżéj zaś szedł za pracami Baina, nie trzymając się go jednak niewolniczo. Od swych duchowych przewodników przejął on nadzwyczajną jasność i ścisłość filozoficznéj myśli, oraz niezwykłą precyzyę wykładu. Gdy już wsłuchałem się w jego wywody, z nader żywem zajęciem śledziłem za wykładami. Pociągał i czarował po prostu ten jasny, przekonywający, loiczny tok myśli, w którym nie było żadnych niepotrzebnych zboczeń, nic do dodania i nic do ujęcia. Poglądy i twierdzenia, powiązane silnym łańcuchem logiki i przyczynowego związku, płynęły jak wspaniała i wielka rzeka, która się nie burzy i nie pieni, któréj jednak nieprzepartemu biegowi nic nie zdolne jest stawić skutecznego oporu. Przywykli do zapatrywania się na zjawiska duchowe jak na dziedzinę samowolnego grupowania się i rozwijania naszéj treści wewnętrznéj, zadziwieni zostaliśmy tym ładem wewnętrznym ducha, jaki się przed naszym umysłem roztaczał. Nic tu nie było dowolnego, wszędzie panowała przyczynowa konieczność i dominujące nad nią prawa, równe wszelkim prawom przyrodniczym. Wydało się to nam nowem jajem kolumbowem. Tak to wszystko było proste, jasne, przekonywujące. Jak młodzież pociągnięta dobrym wykładem arytmetyki lub geometryi, rzuciliśmy się z zapałem do rozwiązywania matematycznych zagadnień naszego ducha, na podstawie tych prostych formuł algebraicznych, jakie nam profesor stawiał przed oczy. I zagadnienia rozwiązywały się łatwo i przekonywująco.

Odtąd nie przestałem uczęszczać na te wykłady, uzupełniając je czytaniem dzieł w tym kierunku, które mi uczony profesor chętnie z włas[illegible] udzielał. W wątpliwościach zwracałem się wprost do niego i otrzymywałem zadowalniające wyjaśnienia. Przeczytałem też wtedy inną historyę filozofii, w przekładzie rosyjskim, bo polskiego nie było i nie ma do dziś dnia, „Historyę filozofii“ angielskiego myśliciela Lewesa, przełożoną przez dr. Spasowicza i Newia-

domskiego. Niemcy nie mogą darować Lewes'owi, że on, anglik, napisał najlepszą biografię i charakterystykę Goethego. Od Lewes'a też dopiero dowiedzieli się uczeni niemieccy, że historyę filozofii można pisać zrozumiale i racyonalnie językiem jasnym i przystępnym. Jasność ta, coś wręcz przeciwległego Schweglerowi *et tutti quanti* oczarowała mnie prawie. Za Lewes'em poszły i inne dzieła, będące już w tłomaczeniu rosyjskiem: Spencer, Tylor i inni; zapoznawałem się także z oryginalnemi pracami pisarzy rosyjskich. Prof. Troicki jest także autorem znakomitego dzieła, znacznéj objętości, w którem porównawczo zestawił rozwój angielskiéj psychologii od czasów Bakona i Locka z równoległą metafizyczną i bezładną motaniną psychologów niemieckich.

Pękła wobec olśniewającego blasku nowych zapatrywań plemienna i polityczna niechęć do języka. Odtąd ubolewałem nad ubóstwem naszéj literatury w tym kierunku; ubolewałem dlatego, że wierzyłem i wierzę głęboko w ścisły związek jaki istnieje między umysłowém a społeczném i polityczném odrodzeniem narodu. Ztąd sympatyzowałem z całéj duszy z prądem „pozytywnym", jaki się i w naszéj wreszcie przejawił umysłowości.

Po latach kilku, gdy zdobywszy już sobie stałe przekonania w rzeczach filozofii, przeszedłem do studyów społeczno - politycznych, które absorbowały mnie głównie i do których filozofię znowu za wstęp tylko uważałem — znalazłem się we Lwowie, oprzeć się nie mogłem zapoznaniu się bliżéj z wykładami prof. Ochorowicza, znanego mi już jako jednego z przedstawicieli warszawskiego filozoficznego pozytywizmu. Odświeżyłem sobie dawne me studya. Wykład Ochorowicza różnił się od wykładów Troickiego. Brakło mu owéj żywéj precyzyi i ścisłości, która mię tak pociągała w lekcyach rosyjskiego profesora, był on często zbyt rozwlekły, nie tak zwięzły i dosadny; młody profesor powtarzał się często i niejednokrotnie do jednego tematu powracał; co jednak wykłady jego czyniło cenniejszemi od wykładów Troickiego, to szeroki grunt przyrodniczy i psychologiczny, jaki utalentowany profesor umiał podkładać pod swe filozoficzne zapatrywania i wywody. Prof. Ochorowicz nie naśladował nikogo, owszem, idąc w dzisiejszym naukowym kierunku, na każdym kroku zdradzał głębokie samodzielne wniknięcie w przedmiot i genialne często, własne pomysły *). Słuchaczów tylko na wszechnicy lwowskiéj miał mniéj, niż ongi Troicki w Warszawie.

*) Z niektóremi wykładami prof. Ochorowicza, mianowicie zaś z jego wykładami o rozwoju zasadniczych poglądów o wszechświecie i z nader interesującemi: Początkami filozofii greckiéj, postaramy się zapoznać naszych czytelników na podstawie opracowania z notatek jednego z uczniów sympatycznego naszego uczonego. *(Prz. Red.)*.

Rezultatem swych studyów filozoficznych pragnąłbym podzielić się w części z czytelnikami „Przyszłości".

W następnych dwóch artykułach pragnę podać treściwy zarys rozwoju zasadniczych poglądów filozofii starożytnéj i nowożytnéj.

HENRYK SIENKIEWICZ
i piąty tom pism jego.

Nieopisane wrażenie przed trzema laty sprawiło pojawienie się trzech tomów pism Litwosa.

Młode pokolenie nie pamięta podobnéj burzy w literackim świecie.

Publiczność współzawodniczyła z peryodyczną prasą w ubóstwianiu młodego pisarza. Nowelle jego i listy stały się przedmiotem narodowéj dumy. Posypały się oceny i streszczenia w dziennikach wszelkiéj barwy; nie ograniczano się na samych utworach, na porównywaniu ich z Ouidą i Bret-Heartem — ale i osoba Litwosa doznała powszechnego zajęcia.

„Gazeta lwowska" drukuje w odcinku pracę, z któréj poznajemy wyjątkową postać naszkicowaną w plastycznym opisie, postać występującą po za ramy codziennego życia, naturę bujną i ruchliwą, bogatą w zasób téj siły indywidualnéj, która nadaje prawo do wyłamania się z karbów konwenansu.

Wszystko w nim było młode, tętniące nadmiarem szlachetnych sił, serdeczne i prawe.

Wrażenie powszechne, acz potężne, nie było jednak całkiem przedmiotowe.

Pisma Litwosa ubóstwiano dla piękna bezwzględnego, jakie je cechowało, dla prawdy, jaka z nich biła potężnym strumieniem.

Dla tych dwóch cech niewątpliwych podniesiono wysoko jego opisy przyrody, przyłożono do nich spiżową miarę mickiewiczowskich obrazów. Lecz po za tém kryje się cały szereg wpływów niepochwytnych, drobnych z pozoru, ale rozstrzygających w danéj chwili czynników, które zapewniają autorowi miłość współczesnych, nadają jego utworom szczególne znaczenie dla pewnéj doby.

Osoby, które dostarczyły dramatycznéj bajki dla każdéj z jego nowelli, jeśli nie były całe z kośćmi przeniesione do książki, to przynajmniéj miały w sobie charakterystyczne cechy osób spotykanych w życiu dzisiejszem, potrącały o tysiące osobistych, najistotniejszych wspomnień własnych lub naocznych — czasem jedno zdanie, jeden obraz krystalizował w sobie sumę powszednich motywów, stanowiących środek porozumienia się autora z czytelnikiem.

Ta szczęśliwa metoda wytworzyła łatwość, przystępność powieści Sienkiewicza — każdy je rozumiał

i podnosił się do wysokości utworu, czuł w nim cząstkę siebie, był niejako wciągnięty w akcyą rozgrywającą się przed jego oczyma i uzupełniał sobie luki. Dlatego mało który autor tak całą duszą był czytany, jak twórca „Hani“ i „Szkiców węglem“.

Obok tego żywiołu niosły pisma Litwosa na sobie piętno energii i woń świeżości, olśniewały wyzuciem się z wszelkiéj rutyny. Ni śladu na nich czuć nie było téj mozolnéj roboty, która stęchlizną przejmuje gładzone, ciężkie twory wdrożonych w utarte koleje pracowników. Biła z nich moc jakaś, zamach niepowstrzymany, rozkołysany do ruchu podmuchem wiatrów pustynnych i tchnieniem wolności nowego świata. W końcu potrącały te pisma o zagadkowe pytania najnowszych czasów, pytania może nie panujące absolutnie, ale leżące na ustach każdemu — lub sięgały w tę sferę objawów ducha, która nie otwierając całéj jego głębi — tworzy wyłom dostępny dla oka — która w jednym konkretnym obrazie ogniskuje summę najrozleglejszych, sprzecznych pozornie pojęć.

Nad tém wszystkiém rozłożyło się panująco poczucie piękna w tworzeniu — piękna pojętego celowo — lecz nie gwałconego w kierunku tendencyi. Takim Litwosem świat krytyki musiał się zająć koniecznie, musiał go uklasyfikować, musiał mu miejsce jakieś oznaczyć.

Zrazu zapomniano o wliczeniu go w te lub owe szeregi, pod ten lub ów sztandar, lubowano się tylko jego dziełami, odnosząc się do niego całkiem naturalnie nie krytycznie lecz sympatycznie.

Dzięki temu zapatrzeniu się bystry krytyk Dr. P. Chmielowski pisze o nim (Dzieje lit. ost. lat 16) blisko półtory kartki samych komunałów, jakby przekalkowanych z przepisów estetyki; coś jakby świadectwo szkolne wypełnione na wszystkich rubrykach stopniami celującemi i bardzo dobremi. Inny kapłan trybunału sztuki prof. St. Tarnowski w swym odczycie (1880) odkrywa w nim rzeczy piękne i bardzo piękne i stanowczo zaznacza jego odrębność od wszelkich obozów a przynależność li tylko pod znaki piękna.

Tak wygląda pierwsze wystąpienie H. Sienkiewicza pod nazwą Litwosa.

Widzimy w nim wielki talent, nieporównaną siłę plastyki, oryginalność przerastającą wszystko współczesne — serce ogromne, pełne miłości dla cierpień i maluczkich, cichych bolów, umysł wolny od apryorystycznych doktryn. Stanął on okryty pełną zbroją znakomitego pisarza. Ta jego wszechstronność, ta siła, rzutkość, kryjąca nieznane jeszcze potęgi — pozwalała domyślać się i spodziewać wiele; czuć, że to dopiéro świetne zadatki, początek wielkiéj drogi, o dalekim końcu; że twórca wyłamał, wykarczował sobie nowe przestrzenie i na nich zaczyna dokonywać prac, które niewiadomo, gdzie dojdą lub sięgną.

Czekano, czekano i doczekano się wreszcie „czwartego tomu pism Litwosa“. Tu już nic nowego nie spotykamy; sprawdza się smutne przeczucie krytyka krakowskiego, że Sienkiewicz zapatrzy się w siebie, rozlubuje się w swych dziełach poprzednich, i zostanie własnym naśladowcą. Sceny jego utworów nie zaludnił żaden nowy, potężny typ, nie jęknął na niéj żaden krzyk nowy. Kipiąca, płynna kaskada stężała w połowie biegu.

Widzimy tu to samo subtelne zużycie obserwacyi nie głębokiéj lecz trafnéj, widzimy tę samą plastykę, ten cudowny dar patrzenia w naturę i jéj wpływy; a wreszcie język nieporównany, świetny, kapiący przepychem godnym Słowackiego.

Morał zostaje ten sam co dawniéj. Do walki nie już z chytrym wrogiem lub podstępnym zdrajcą, ale z całym światem, z całą masą stosunków społecznych, tchnących lodem i obojętnością — stają istoty nie zbrojne do walki, małoletnie wiekiem lub rozumem, i upadają zdruzgotane żelaznémi kołami postępu. Walka jest beznadziejna, nie tragiczna, bo bez winy osobistéj, chyba tak małéj, tak błachéj, że raczéj błędem zwać się ją godzi. A siły wciągnięte w kolizyą są wielkie i wielmożne, nie występują jako karzące, obrażone bóstwa, jako Nemezis, lecz kroczą bezwiednie naprzód naturalnym automatycznym ruchem, nic nie wiedząc o podeptanych ofiarach, nie słysząc ich westchnienia.

Jakiś chłód straszny wieje z zetknięcia się tych dwóch obcych światów, wołają z nich echa pierwotnych kultów o niszczących siłach nadziemskich — przypominają się wstrząsające do głębi swą konsekwencyą nieubłagane prawa ekonomii społecznéj.

W stawianiu tego problemu przekroczył autor (tom IV) miarę zachowaną przy pierwszém wystąpieniu. Tu bije już rażąco w oczy owo nagromadzenie straszliwych efektów, jest ich tak wiele, że znużenie w końcu sprawiać zaczynają i budzą myśl o ich nadużyciu, obniżając przez to estetyczną doniosłość utworów.

Prócz tego pojawia się w tomie czwartym próbka dramatyzowanych zagadnień psychologicznych w zupełnie odmiennym tonie, nie tworząc jednak żadnego nowego zwrotu w rozwoju działalności autorskiéj.

Pojawia się w końcu niedawno tom piąty, równie jak poprzednie zawierający utwory znane już powszechnie. Ta nowa wiązanka przynosi nowe rzeczy obok już znanych, przynosi, że się tak wyrazimy, ideał dodatni i ujemny, tak jak je autor rozumie; dozwala wyprowadzić ztąd pewne wnioski szczegółowsze. Zajmijmy się jednak pierwéj trzema nowelami: „Latarnikiem“, „Amiołem“ i „Bartkiem“. L a t a r n i k, to krótka rzewna historya tułacza siwego, stażnika latarni morskiéj na skalistéj wysepce, który odgrzebuje w duszy wspomnienia ziemi rodzinnéj pod wpływem „Pana Tadeusza“, a zaczytany zapomina swych obowiązków

i traci miejsce. Po przeczytaniu budzi się pytanie, co będzie z tym starcem rzuconym na pastwę nędzy?

Nowella piękna, szlachetna, jedna z najcieplejszych jakie spotykamy w dwóch tomach ostatnich, lecz nie téj mistrzowskiéj miary co „Janko“ lub „Nauczyciel poznański“.

Amioł to szkic słabo podmalowany, urywek jakby dla zapełnienia tomu dobyty z fejletonowego pyłu, niosąc na sobie stempel oryginalnego pisarza — nie przestaje mimo to być notatką kronikarską.

W Bartku zwycięscy opowiada Litwos wyprawę wojenną chłopa z Poznańskiego w niemieckich szeregach, jego stopniowe dziczenie, a potém opłakane skutki tryumfów, skutki równie gniotące cały ogół, jak fatalne dla pogromcy turkosów.

W Bartku występuje może najwyraźniéj owo tak silnie cechujące Litwosa, obnażanie wszystkich skrzypiących sprężyn machiny ducha, które ma zastępować ujęcie na gorącym uczynku tworzenia każdéj myśli lub zamiaru. Dzięki temu środkowi w całym cynizmie nagości staje naiwna prostoduszność a raczéj głupota chłopa; nawet popędy prawe lub chęci podnioślejsze motywuje autor li tylko ślepym uporem tradycyjnego konserwatyzmu i siłą odtworzonych wspomnień rodzinnéj wioski. Jakby zgodnie z najkrańcowszemi teoryami materyalizmu miejsce inteligencyi lub nawet prostego instynktu, zajmuje szereg odruchów, wywołanych bezpośredniemi wpływami.

U Sienkiewicza nie sam jeden Bartek jest taki tylko, że w Bartka ta właściwość najsilniéj się wrzyna.

Na szczęście autor potrąca także o wpływy, które stan podobny wywołały, wpływy równie godne potępienia, jak stanowczéj odmiany.

Zajmijmy się teraz „Niewolą tatarską“ i dramatem „Na jednę kartę“.

Powiedziano o Niewoli tatarskéj, że ona stanowi pierwsze nacechowanie ideału męskiego, jak go Litwos rozumie; ideał to odległych wieków, rzeźbiony wpływami dawno obumarłych czasów, poświęcający szczęście całego swego życia, swą wolność i swe kochanie potędze wyższéj nad codzienne zabiegi. Tą potęgą jest wiara przodków, wiara naiwna, instynktowna, ale nie mniéj gorąca i szczytna, bo poparta ofiarą. Jako postać historyczna, jako wyraz etycznych i społecznych pierwiastków swego czasu — razi nieco reminiscencyami nowszych pojęć; jako obraz psychologiczny razi swém rozwinięciem w jednym tylko kierunku, brakiem tego wszechstronnego pochwycenia rysów, które składają się na całkowite odtworzenie natury; jako utwór sztuki razi niewymiernością, wskutek szerokiego rozprowadzenia tła na początku a przejścia stopniowego pod koniec w ton szkicowy, prawie pobieżny.

W końcu jako typ społeczny jest cichy, lecz żelazny bohater tatarskiéj niewoli, jednym z tych charakterów pięknych choć smutnych, których zadaniem i cnotą straż pojęć uświęconych wiekami, wszczepionych wychowaniem i tradycyą, których życiem mohortowska czujność i wieczne pogotowie. Jestto postać z tego zakresu, który zgonem potrafi zaprotestować przeciw złemu, „który się złamie a nie zegnie“ jestto ideał zachowawczy. Takie istoty nie pchają świata naprzód, nie poświęcają swych sił potężnych na czyny nowe, choćby one zbawienie niosły, bo w poprzek murem im staną stare wierzenia i cienie praojców, lecz potrafią bronić swych sztandarów do ostatniéj kropli krwi, nie zadrżą przed zaparciem się siebie, pomni na złożoną przysięgę wierności. Ich moc jest mocą oporu lecz nie umie wcielać świeżych zdobyczy, ni wybiec po za granice *status quo*. Jak dąb, w upadku tylko są majestatyczni i groźni.

Dramat „Na jednę kartę“ snuje się na tle współczesném i daje typy dzisiejsze już bez żadnych omówień, bez zastrzeżeń poprzedniego utworu.

Opowiada on dzieje człowieka bez przeszłości, którego historya od niego samego się zaczyna, który wszystko winien sobie, a po części przynajmniéj w dzieciństwie, opiece starego księcia. Józwowicz jest uczonym demokratą, pozytywistą, sądzącym ludzi miarą ich osobistéj zasługi a nie stanowiska, jest ambitnym szermierzem politycznéj areny. Rozwinięty wszechstronnie nauką, ma i serce tęskniące do uczuć poważnych. Związany dążeniami z innym światem, obraca się w sferze wysokiego towarzystwa, gdzie go wiążą stosunki i tajona miłość dla Stelli, córki dobroczyńcy swego. Ten człowiek założył sobie dwa cele, zostać posłem i otrzymać rękę ukochanéj kobiety.

Ale tu i tam spotykają go trudności. Kandydatura jego nie jest jedyna, ma nieprzyjaciół, Stella jest narzeczoną Pretwica, dawnego kolegi bohatera.

Węzeł dramatu polega na zachowaniu się Józwowicza wobec przeszkód.

On musi dopiąć zamiaru, bo tak chce, bo mu prawo do tego nadaje jego siła, jego rozum, jego przewaga nad dziećmi kasty skazanéj na wymarcie.

Jest cel, jest chęć dopięcia tego celu, potrzeba środków na usunięcie przeszkód. O środki nie troszczy się Józwowicz. Każdy środek dlań dobry, bo on wyzwolił się już z przesądów i wierzy w samą tylko siłę. Nad wyborcami pracuje Antoni, nieznużony pracownik nowych haseł, widzący w bohaterze gwiazdę przyszłości, nad Stellą on sam odniesie zwycięstwo. Sposób wyjścia nasuwa mu się łatwy. Stella bezwiednie kocha Drahomira, serdecznego przyjaciela Pretwica. Cóż łatwiejszego jak poróżnić przyjaciół, zostawić ich własnemu losowi a potem zająć opróżnione miejsce. Józwowicz nie waha się ni chwili, wszak to człowiek nowych czasów. Zamach udaje się. Pretwic widzi Stellę w objęciach Karola, wyzywa go i ginie od strzału.

Drahomir splamiony krwią jego nie ma już miej-

sca przy boku Stelli. Józwowicz zwyciężył, tylko że Stella umiéra z boleści, a uczciwy Antoni odwraca się od mistrza podłych środków.

W rezultacie kandydat na posła i książęcego zięcia jest łotrem prostym. Z dramatu wynika, że musiał być nim, lecz zobaczmy czy premissy są słuszne i prawdziwe, bo jeśli są, to wtedy każdy, kto tak myśleć będzie jak Józwowicz, kto się taką jak on drogą rozwinie, łotrem być musi. Nie uchroni od tego żadna wymówka, żadne odwoływanie się do temperamentu, do osobistéj podłości, bo Józwowicz w dramacie nie ma indywidualnego temperamentu, nie ma osobistych skłonności, jest tylko czystym produktem wychowania i zasad.

Przedewszystkiem dokładnie wziąwszy nie wiemy, co za przekonania ma Józwowicz, choć dramat cały nam to mówi, że jest człowiekiem bez przesądów dziedzicznych, że jest zwolennikiem postępu i jakichś teoryi nowych. Lecz co to są za teorye, co usuwając „poczciwość, która jest jedna dla wszystkich czasów“ nie stawiają nic na jéj miejsce? Wyniki ruchu przyrodniczego i społecznego, zastępują moralność wiary, wyrozumowaną zasadą o dążeniach nieposzlakowanych etycznie. Jeżeli do nich odnoszą się teorye Józwowicza — to płytkiego mają w nim przedstawiciela. Ale Józwowicz nie może być płytkim, nie może źle rozumieć swéj nowéj wiary — bo autor nie szczędził mu pochwał w tym kierunku.

Więc nie ma punktu wyjścia z téj sytuacyi jak tylko jeden: że doktór praw i medycyny jest fałszywie odmalowaną postacią, jest tendencyjnie nagięty dla stwierdzenia powziętego z góry założenia. Sama psychologia dramatu daje na to dowody. Czuć pewną dwoistość w głównéj postaci. Inną jest ona w dwóch pierwszych aktach, inną w dalszym toku. Czyż podobna przypuścić, żeby człowiek tak ceniący sobie samego, taki dumny i groźny, taki czysty w swéj miłości, zgodził się na krok niebespieczny, rzucenia Stelli jako kości niezgody między dwóch ludzi, ułatwiania schadzek kochankom, przyczém anioł jego mógł sobie skrzydła opalić, mógł się zszargać poprostu. A musiałby w duchu tę możliwość przypuścić, choćby już przez sam brak wiary w moralne siły pogardzonéj przez siebie klasy. Józwowicz zgodził się na to wszystko, w niezachwianéj nadziei, że Stellę znękaną przez walkę, ze złamaném sercem, może zhańbioną, poprowadzi do swego domowego ogniska.

Gdzież się podziała ta szczytna duma parweniusza czy się zmienia w stręczenie?

Znów nie możemy pogodzić dwóch Józwowiczów... Prawdziwy jest ten, który przeprowadza niecną intrygę, ale nie jest on już przedstawicielem ludzi postępu, prawdziwy jest i ten, którego poznajemy z początku, lecz między tymi ludźmi prócz wmówienia w nich wspólnego hasła żadnego nie ma pokrewieństwa.

Sienkiewicz chciał dowieść, że ludzie tacy jak Józwowicz gdy staną wobec namiętności, gdy sobie powiedzą *c'est plus fort, que moi* — nie mają w swym arsenale ani żadnéj wyrozumowanéj zasady, któraby ich przez męty życia drogą uczciwą przeprowadziła ani żadnéj siły do walki ze sobą,—więc grzęzną w błoto po uszy.

Czy to jest prawdą i czy dowiódł tego?

Musimy zaprzeczyć. Nie wykluczając jednak możliwości znalezienia się podobnych jednostek, w których w grę wchodzą inne jeszcze czynniki.

Naprzeciw Józwowicza stają Drahomir i Pretwic. Ten pierwszy jest szlachetném dzieckiem, o którém jako o typie nie wiele jeszcze da się orzec. — Pretwic to antyteza bohatera. Czuć w nim jakieś powinowactwo z tatarskim jeńcem poprzedniéj nowelli. Jestto ten sam człowiek o szorstkich rękach, zbrojny do walki długiém tułactwem po świecie i cierpieniami, charakter żelazny i prawy, szermierz zachowawczych idei. Takim on sam się przedstawia — i wszyscy o nim tak mówią: pani Czeska twierdzi, że jest żelazny, Stella o tem zapewnia równie jak Drahomir. W końcu zaczynamy wierzyć, że Pretwic jest w saméj rzeczy żelazny... Ale dzieła jego dalekie są od tego hartu! W miłości jest egoistą, zazdrośnym i gwałtownym. Jako obywatel kraju jest zerem. Całém jego działaniem na tém polu jest udzielenie pomocy biednym pogorzelcom, raczéj dowód serca dobrego. Znając jego zasady, nie podobna przypuścić aby one nie sprzeciwiały się ideałom Józwowicza. Czy mu choć w myśli postoi roztrząsnąć dążenia tego człowieka, dopatrzyć się w nich zamachów na stanowisko klasy, do któréj należy, i walkę z nim rozpocząć? Nie, bo on zajęty cały swą Stellą, swém szczęściem przyszłém. — Żal się budzi na widok takiéj siły wielkiéj wplątanéj w błahe dzieje miłości.

Pretwic jest raczéj złamany życiem człowiek, który myśli jedynie o zawinięciu do cichéj przystani rodzinnego życia; o posługach obwatelskich, ani mu się nie marzy.

Taki jest rywal Józwowicza przed Stellą. Na politycznéj arenie jeden tylko niedołęga, prawie idyota staje do walki, a raczéj każą mu się „puszczać“. Jest nim Jean hr. Miliszewski, stworzenie tak głupie, że mówić o niem nawet się nie godzi. W ogóle stronę społeczną dramatu po macoszemu autor taktował. Nie wyłuszczył jasno do czego dąży Józwowicz ze swym obozem, czego przeciwny obóz chce bronić — boć o Husarskim, kandydacie za sceną się obracającym nic a nic nie wiemy, a gadaniny Jean'a za wyznanie wiary brać nie możemy. Czyżby Galicya takich tylko ludzi miała w zachowawczém stronnictwie? Czy to jest tendencyjne ze strony autora, czy mimowolne jest zaw-

sze strasznym grzechem przeciw prawdzie a może i sztuce. Tyle o ludziach i dążnościach.

Sama budowa dramatu cechuje łamanie się autora z formą i warunkami — lecz pozwala spodziewać się wiele. Żywość dyalogu, umiejętne cieniowanie psychologiczne, dowcip cięty i prawda w malowaniu scen pojedynczych, luźnych, znamionują szczęśliwe ujście w przyszłości dla twórczych sił Litwosa. —

Eł. Jot.

GŁOS WOLNY.

Zaburzenia między studentami rosyjskich uniwersytetów odbiły się w naszéj prasie wywołując szereg sądów i opinii. Nas obchodzi najwięcéj głos, jaki w téj sprawie zabrał „Przegląd Akad.“, bo pismo to uważane jest za urzędowego przedstawiciela polskiéj młodzieży, według niego młodzież jest osądzona.

W ostatnim, grudniowym zeszycie pojawia się artykuł wstępny, zwrócony do akademików warszawskich, który oznacza im *modus vivendi* w obecnym stosunku do młodych burzycieli — studentów z Petersburga, Moskwy i Kijowa. Odezwa ta gorąco pochwala Warszawiakom ich wyczekujące, wstrzemięźliwe zachowanie się wobec studenckich ruchów, zaklina ich, by zdala trzymali się od burzycieli „których słowa wstręt tylko budzić mogą, zbyt dobrze bowiem“ — powiada — „znamy ich nikczemność, aby módz sobie nawet wyobrazić jakiś pogląd szlachetny tam, gdzie prócz wzgardy i zdrady nic innego nie znaleźliśmy“.

Te dwa motywa: ideał cichego siedzenia, jako zachęta, podłość studentów rosyjskich, jako ostrzeżenie, śle odezwa do Warszawy. Pozwalamy sobie zaznaczyć nasze w tym przedmiocie zapatrywanie.

Zaburzenia studenckie w Rosyi nie są awanturą, jakie po świecie nie rzadko rozlegają się w cichych dziedzińcach collegiów, lecz jednym z objawów silnego ruchu, przygotowanego przez dzieje, ruchu, który uwagę Europy zwraca swą groźną postacią. Młodzież rosyjska, która wytwarza zaburzenia, działa w kierunku tego ruchu; jak dziś dla naszych braci warszawskich oportunistyczny spokój, dla nich jestto obowiązek równie narodowy. Ta ich dążność daleka jest od porozumienia, czy współdziałania z ową Rosyą, dla któréj nienawiść „w krwawym spadku otrzymaliśmy“, ta dążność ma poderwać właśnie „nogi gliniane“ brutalnéj sile, która w niecnym związku z biórokracyą wytwarza Apuchtinów i Błagowieszczeńskich. Wspierać ruch taki ze stanowiska nie narodowego już lecz wprost humanitarnego, zbrodnią nie jest.

I n n ą j e d n a k jest rzeczą, czy dzisiejsze stosunki w Król. Polsk., czy dzisiaj panujący kierunek, na to zezwolić może. Sąd o tém zostawiamy naszym braciom warszawskim.

Pochwały czy groźby czynione młodzieży z pod zaboru za jéj zachowanie, mają w każdym razie znaczenie czysto chwilowe, a wyczekiwanie nie może być wieczystym dla niéj programem.

Nie ulegając więcéj niż szowinistycznym bo niemoralnym uprzedzeniom odezwy przeciw ideałom nowego pokolenia rosyjskiego, odnosząc się do tych ideałów chłodno, krytycznie ale i sprawiedliwie, widzimy w nich gotowość do ofiar i męczeństwa za swoją sprawę. Nie odmawiamy im, jak to czyni odezwa, szacunku.

Słowa odezwy brzmią nam tonem nieusprawiedliwionéj namiętności, zbyt są pewne swych rozumowaniem niepopartych dogmatów. Jedyną bronią odezwy jest „krwawy spadek przeszłości“, on wstrętem przejmuje ją przeciw burzycielom wspólnych wrogów. Ale obok „krwawego spadku przeszłości“ jęczy niedawne echo: „za wolność naszą i waszą“, wypisane na równie krwawych sztandarach.

To wspomnienie niech nas osłoni przed pomówieniem o brak patryotyzmu, za to, że patryotyzm nie zasłania nam oczu przed sprawiedliwością, niech nas obroni przed powodzią komunałów odezwy, które tocząc się utartém z dawna łożyskiem, zalewają swym dobrze brzmiącym, bo osłuchanym szumem, wszystko, co opór im stawi lub naruszy ich przywileje. Boimy się otwarcie zarzutów, bo stary Will powiedział dobrze:

„Są grzechy zbrojne w przywiléj na ziemi . . .“

. . . .

Wiadomość, że wydział krajowy pominął Dra Obalińskiego przy obsadzeniu prymaryatu oddziału chirurgicznego w szpitalu lwowskim, również i w kołach studenckich przykre wywołała wrażenie. Młodzież akademicka hołdująca zasadom, że głęboka wiedza, sumienna praca i zasługi winny być przedewszystkiem uwzględniane, boleśnie czuje się dotkniętą, że najwyższa nasza władza autonomiczna inaczéj myśli i inaczéj postępuje. Nie o człowieka nam chodzi, ale o zasadę. Jeśli ci, co na świeczniku stoją, inną młodzieży wskazywać będą drogę do stanowisk ważnych, niż drogę pracy długiéj, wytrwałéj a skutecznéj, to litować się godzi nad młodem pokoleniem, a tém samém nad krajem. Młodzież zmieni się w zdemoralizowanych zarobników, nieufnych w siły swoje, korzących się nawet przed symbolem władzy, bo ona wedle zachcenia, a nie wedle ich zasług obdarza ich względami.

. . . .

W s p r a w i e p o m n i k a M i c k i e w i c z a zapowiada nowy rok epokę stanowczą. Otworzyć ją mają: wydanie odezwy przez komitet centralny, i ogłoszenie ostatecznego konkursu. Zapowiedziom tym nie wiele byśmy ufali, bo wiemy o tem dobrze, że u nas zapowiadanie służy zwyczajnie za środek tymczasowy uspokojenia głosów opinii, kiedy wykonanie odwlec się ma—

ale zdaje nam się, co do sprawy odezwy przynajmniéj, że ta odbyła już potrzebną kwarantannę. Przeszło już rok jak miała być odezwa wydaną. To i dla Galicyi dosyć, aby sprawa odwietrzyła się z cech „opłakanego zapału“ i „niewczesnego pośpiechu“! Tak przynajmniéj zdają się sądzić w Warszawie, gdzie prasa nieprzestaje narzekać na naszą opieszałość. Ale stara to rzecz widziec w oku brata swojego źdźbło, a w swojem o belce nie wiedzieć. Któż bowiem winien opieszałości téj jeśli nie Warszawiacy?... W rzeczy saméj! Któż tego nie widzi, że komitet zbiera się wtedy tylko, kiedy który z warszawskich członków zjedzie do Krakowa. Ostatni raz było posiedzenie komitetu „dla uczczenia“ p. Szymanowskiego. Obiecywano tam sobie podobno, że w dwóch tygodniach zbierze się komitet znowu, wyda odezwę i ogłosi konkurs. Było to temu coś dwa miesiące. W ciągu tych dwóch miesięcy żaden z członków warszawskich nie przyjechał. Któż więc winien? Przecież śmiesznem by było, żebyśmy się tu sami przed sobą w komitet bawili...

A teraz jeszcze o innéj „Warszawie“ chcemy wspomnieć. Pod tém godłem zjawił się w numerze 910 „Kłosów“ projekt nowy, mający być nadesłanym na konkurs stanowczy. „Kłosy“ zupełnie objektywnie stają w téj sprawie, zamieszczają projekt i artykuł o nim p. Martynowskiego, a w następnym numerze krytykę p. Struvego. Co do nas zgadzamy się w zupełności z tém, co p. Struve napisał: ciekawych też do téj krytyki odsyłamy. Zaznaczamy tylko, że się nam projekt niepodobał; niepodobało nam się, że jest architektoniczny, a niepodobał nam się też j a k o architektoniczny. Nie możemy przystać na zdanie, że: „pomnik ma być monumentalnym, a monumentalne dzieło da się przeprowadzić j e d y n i e w architekturze“ (?). Nie sądzimy, aby koniecznie było pożądanem, „żeby nań się składały: architektura, rzeźba i malarstwo“, a nawet z zasady nie wierzymy w taką składaninę. Francuzi słusznie mówią, że chcieć powiedzieć wszystko, jest to nic nie powiedzieć. Autor zaś projektu tak bardzo chciał powiedzieć wszystko: pomieszał kolumny doryckie i korynckie, nakrył je kopułą rzymską, we wnętrzu ustawił sarkofag Mickiewicza, na wierzchu jego pomnik, ściany zamalował freskami, gzymsy rzeźbami obsadził, umieścił muzeum Mickiewiczowskie, słowem tak się zadyszał, że wreszcie na spocone czoło puścił *luft* aż czterma drzwiami, u których posadzone są lwy, czy coś podobnego, strzegące aby to dzieło przez swoje drzwi nie uciekło. — Prócz tego niebezpieczeństwa na inne jeszcze zwrócił słusznie uwagę p. Struve, że w tém mauzoleum mogłoby kogoś *zawiać*. I my sądzimy, że mogłoby kogoś zawiać. A nawet już może kogoś zawiało. P. Martynowski przynajmniéj następujące pisze do tego projektu objaśnienie: „Projekt rozwija się z krzyża, więc na podstawie zasady chrześcijańskiéj, będącej wyrazem cywilizacyi i dziejów naszego społeczeństwa“. Przedewszystkiem co to znaczy, że „zasada chrześcijańska jest wyrazem cywilizacyi i dziejów naszego społeczeństwa“, następnie, jeśli to coś znaczy, czy zasada ta jest rzeczywiście wyrazem téj cywilizacyi i tych dziejów, czy daléj, jeśli tak jest, przyjdzie do głowy komukolwiek patrzącemu na pomnik, że on w ł a ś n i e to ma wyrażać, dlaczego wreszcie ma on to wyrażać? — tego nie wiemy. — „Z ramion krzyża wyrastają portyki, a ze środkowego kwadratu rdzeń monumentu. Monument rozpada się na trzy poziome części, z których każda ma mieć właściwe sobie przeznaczenie. Część parterowa na wysokim cokule ze schodami imponującemi zaprojektowana jest w porządku doryckim. Część środkowa z kwadratu przechodzi w ośmiokąt, a następnie w koło, aby na niém stanął szczyt pomnika, złożony z kolumnady korynckiéj i kopuły.“ (Wśród téj kolumnady pod kopułą stoi posąg Mickiewicza jak św. Jan Kanty w kapliczce). „Kopuła zamyka ten świat (?) cały, który się przedstawia jakoby połączenie sztuki i cywilizacyi greckiéj, rzymskiéj i chrześcijańskiéj. W takiéj kolei kojarzyły się te cywilizacye, *zatem* usymbolizowanie ich w monumencie uważamy za właściwe“. Tu oprócz słówka „zatem“ nie możemy dopatrzeć innego łącznika między premisą a wnioskiem. Bo i dlaczegóż nie miałby równie dobrze pomnik być np. czworokątny, skoro było przecie czterech ewangelistów, skoro istnieją cztery pory roku i cztery strony świata, a nawet konfederatka narodowa ma cztery rogi... dlaczego nie miałby być równie dobrze trójkątny, kulisty i t. d.; gotowiśmy bronić nawet kształtu pagody indyjskiéj, bo aryjskie nasze pochodzenie przypomina. Nie rozumimy téj logiki, czy ją kto rozumie nie wiemy, ale — to już pewna, że tak domyślnego nie masz, aby „zasadę chrześcijańską w téj budowie ujawniły mu rzut jéj poziomy, malowidła co się mają rozwinąć wewnątrz i — p o s ą g M i c k i e w i c z a!“ Posąg Mickiewicza symbolem chrześcijańskim! Materyał zaś monumentu kamień i spiż tu już pewnie mają przypominać pierwotne epoki cywilizacyi: kamienną i brązową?! Ano! kiedy tak to tak. — Niemamy zresztą nic przeciwko temu, aby „Warszawa“ przyjechała do nas na konkurs, (różne tu będą dziwne rzeczy), ale proponowalibyśmy jéj inne godło, np. takie: „Przewiewny monument metafizyczny, wszelakie cywilizacye w sobie łączący, a pewnemu katolikowi wystawiony“.

KORESPONDENCYE.

Z Krakowa.

Dziwną wydać się może niektórym czytelnikom rubryka, która ma być „k r o n i k ą ż y c i a m ł o d z i e ż y

krakowskiéj“, boć „jako młodzież uczyć się powinna“, a życie wszystkich uczących się jest tak jednostajne, monotonne, że prawie życiem być przestaje, a zamienia się w mniéj lub więcéj prawidłowy ruch wahadła zegarowego. Pomimo to jednak stanowczo zapewnić możemy, że młodzież krakowska, szczególniéj akademicka, wbrew ustalonéj opinii o powinności całego świata uczącego się, nie odgradza się chińskim murem od życia reszty społeczeństwa, przeciwnie coraz bardziéj zaczyna odczuwać potrzebę przyjmowania czynnego udziału w tém życiu, żyje więc i daje tego dowody. Chociaż fakt ten zmartwi zapewne niejednego, ale nas, co chcemy mieć z obecnéj młodzieży przyszłych obywateli w całem znaczeniu tego wyrazu, cieszyć to tylko może, cieszy też niewymownie.

Inną już rzeczą jeśli zapytamy, jakie objawy, ujemne czy dodatnie przeważają w tém życiu.

Obowiązkiem właśnie naszym wykazać [illegible] jak można najobjektywniéj. Objektywność ta sta[illegible] całą trudność zmudnéj kronikarskiżj pracy, niep[illegible] o-wiem częstokroć ustrzedz się podmiotowoś[illegible] -dobna, powtarzam, gdyż każdy człowiek [illegible] i mieć pewien pryzmat, przez który bada [illegible] nego życia, w wir którego sam jest wmi[illegible] matem tym są jego przekonania.

Zaręczamy jednak czytelnikom naszy[illegible] y fakt jakiś nie da się całkiem objektywnie [illegible] wać, przedstawimy im pierwéj, z jakim pryzm[illegible] przed oczyma doń przystępujemy i na podsta[illegible] kiego kryterium sąd o nim wydajemy.

Po tych koniecznych omówieniach, śpieszmy *ad rem*, bo faktów do zanotowania sporo, a miejsca mało.

Życie młodzieży akademickiéj ogniskuje się głównie a nawet wyłącznie w Czytelni Akademickiéj. Pomyślny rozwój Czytelni jest nader pocieszającym objawem. Zdaniem naszem tylko w takiéj instytucyi, gdzie się grupują swobodnie najrozmaitsze żywioły o najrozmaitszych charakterach i przekonaniach, potok młodego życia może płynąć szerokiém a równém korytem — tylko przy warunkach, jakie daje Czytelnia, może się wyrobić w massie młodzieży wszechstronność przekonań; twierdzenie to niech przykład poprze. W Warszawie, dajmy na to, o urządzeniu czegoś w rodzaju czytelni marzyć nawet nie podobna, młodzież więc zaspakaja ten brak w inny a od wieków praktykowany sposób: organizuje się w tajne kółka i kółeczka na zasadzie wspólności przekonań, do których dochodzi najczęściéj każda jednostka oddzielnie. Kółka takie mają bardzo małą styczność ze sobą, zasklepiają się tedy całkowicie w ciasnym światku swych przekonań, spozierając na siebie wzajem z lekceważeniem, ba, nawet ze wzgardą. Wprawdzie tak ciężkie warunki sprzyjają wytworzeniu się silnych charakterów, lecz nieodzownie wywołują jednostronność, w przekonaniach i dążnościach, jednostronności, która zawsze i wszędzie tamuje prawidłowy, ewolucyjny rozwój społeczeństw. Rzadko jednostka zdolną jest oswobodzić się od takiéj jednostronności bez zmiany warunków, dla massy jestto absolutnem niepodobieństwem. Młodzież krakowska zatem w stosunku do swéj braci pod zaborem rosyjskim zajmuje, że się tak wyrazimy, uprzywilejowane stanowisko. Stokroć też większe obowiązki na niéj ciężą — do zrozumienia i całkowitego wypełnienia ich przyczynić się chcemy.

Wracamy do wewnętrznego życia czytelni i jego zewnętrznych przejawów. Z początkiem każdego roku szkolnego odbywają się wybory do wydziału. W tym roku były one bardzo burzliwe, szło już nie o osobistości sympatyczne lub niesympatyczne, jak lat zeszłych, lecz o przekonania, jakie kandydaci wyznają, z tego względu miały one doniosłe znaczenie w życiu Czytelni. Wskutek tego jednak, że już prawie trzy miesiące czasu od nich nas dzielą, dłużéj się zatrzymywać nad tą kwestyą nie będziemy. Potrącając o wybory chcieliśmy tylko zaznaczyć, że zaczynamy się wyzwalać z pod wpływu zgubnéj zasady, jakoby między młodzieżą stronnictw żadnych być nie powinno. Gdzie stronnictw nie ma, *ipso facto* i przekonań nie ma, a brak przekonań, to dowód największej nędzy umysłowéj i moralnéj.

Z kolei idzie wieczór Mickiewiczowski. Sprawa przebrzmiała powiecie. Oj nie! przez dłuższy czas w naszéj pamięci stać on będzie. A to dla tego, że na nim starły się dwa światy, że na nim do różnych a znanych nam wyznań wiary pokolenia starego przybyło credo pokolenia młodego, pokolenia przyszłości. W imieniu młodzieży przemawiał prezes Czytelni, a punktem ciężkości zasadniczéj części mowy jego były słowa, że zadaniem naszem „bryłę świata nowémi pchnąć tory“, że gorącą wiarą naszą jest, „iż przyjdzie czas, gdy

„Prysną nieczułe lody
I przesądy światło ćmiące,
Zawita jutrzenka swobody
A za nią zbawienia słońce“.

A czas ten my przybliżymy usilną pracą naszą.

Tym coby utrzymywać śmieli, że głos kol. Pawlikowskiego był wyrazem jego osobistych przekonań, lub też przekonań nielicznéj garści młodzieży, przypominamy, że kol. Pawl. nie samozwańcem zjawił się na trybunie, lecz jako prezes Czytelni Akademickiéj, wybrany przez znaczną większość jéj członków. Przekonania jego były znane dobrze, nie mogły nawet być nie znane, gdyż nad przedwyborczem zgromadzeniu każdy kandydat musiał złożyć wyznanie wiary; kolega Pawlikowski sformułował je jasno, zaznaczył wyraźnie, że jest pozytywistą i szczegółowo rozwinął całokształt swych przekonań. Większość członków Czytelni oczywiście podziela te przekonania, jeśli kol. Pawl. prezesem mieć chciała.

Przemówienie kol. Pawl. na wieczorze Mickiewiczowskim jest bardzo dodatnim objawem życiowym, z należytém więc uznaniem zostało przyjęte przez postępową prasę polską; ciekawych odsyłamy do korespondencyi z Krakowa w N-rze 11 Ziarna i do artykułu p. t. „Młodzi w Krakowie“ w warszawskim Przeglądzie Tygodniowym.

Przechodząc do spraw bieżących, zanotować należy, że w Czytelni utworzyło się kółko przeważnie z Wielkopolan złożone, które postawiło sobie za zadanie zbieranie w Galicyi składek na budowę teatru poznańskiego. Mamy nadzieję, że kółko rozwinie energiczną działalność i przyczyni się do zwiększania funduszów, które dotychczas bardzo ospale się gromadziły; że cała młodzież poprze kolegów Wielkopolan, w to nie wątpimy, im zaś należy się uznanie za inicjatywę.

Wkrótce nastąpi święto postępowców polskich, a tóm świętem jest jubileusz T. T. Jeża. Nie tu miejsce wykazywać olbrzymie zasługi Jeża na niwie literackiéj złożone, zaznaczamy jeno, że należy on do

rzędu niestrudzonych szermierzy postępu, obowiązkiem więc wszystkich współwyznawców Jeża jest złożyć mu hołd czci i wdzięczności.

P. Świętochowski filar młodej prasy warszawskiéj podał pierwszy inicjatywę, która serdecznie została przyjętą przez wszystkie postępowe żywioły — najlepsze siły literackie składają się na wytworzenie zbiorowéj pracy p. t. Ognisko, czysty dochód przeznaczając na to, by ulżyć steranemu starcowi troski o chleb powszedni; lista prenumeratorów ogromnie wzrasta, jak to widzimy z wykazów, drukowanych w Prawdzie.

W Krakowie jedynie młodzież przyłącza się do oddania należytego hołdu Jeżowi. Wydział Czytelni Akad. postarał się o zgromadzenie adresów od wszystkich zagranicznych stowarzyszeń młodzieży polskiéj. Adres Czytelni opatrzony jest setkami podpisów; ze skromnych swych funduszów Czytelnia posłała 20 złr na Ognisko. Fakt ten daje jaskrawe świadectwo o przekonaniach młodzieży naszéj.

Pewni jesteśmy, że w dzień jubileuszu urządzonym będzie w Czytelni uroczysty wieczorek na cześć Jeża, lecz czy nie dałoby się urządzić coś więcéj? Czy nie okazało by się możliwem sprowadzenie szanownego jubilata z Genewy do Krakowa, by odetchnął po tylu latach wygnania powietrzem ojczystem, by osobiście złożył w nasze ręce sztandar postępu, pod którym walczył życie całe?! Rzucamy tę myśl, urzeczywistnienie takowéj zostawiając energii samej młodzieży. Według nas najwłaściwszym dniem dla obchodu jubileuszu byłby dzień 23 stycznia — dwie uroczystości zeszłyby się razem.

Agitacja młodzieży, by przy wilji zbierano składki na pomnik Mickiewicza nie jest bezowocną, rezultaty już teraz są widoczne, z różnych stron składki nadchodzą. W następnym Nrze podamy ogolną sumę, która w ten sposób wpłynęła.

Młodzież także obchodziła wspólną wilię w Czytelni. Doroczny ten obchód rozpoczął prezes przemówieniem, w którem zaznaczył podwójne znaczenie uroczystości: jako dnia narodzin wielkiego Mistrza, którego nauka streszcza się w słowach: „kochaj bliźniego, jak siebie samego“, który cierpiał i umarł za prawdę; powtóre, jako zwyczaju narodowego, noszącego cechy demokratyczności. W życzeniach swych kol. Pawlikowski największy nacisk położył na to, by młodzież starała się wyrobić przekonania, na podstawie ich tworzyła stronnictwa, nakoniec, aby członkowie różnych stronnictw we wzajemnym stosunku trzymali się prawideł, obowiązujących wszystkich uczciwych ludzi. Walka o przekonania być powinna, z godnością jednak prowadzić ją należy.

W dzień wilji Czytelnia otrzymała telegram od młodzieży lwowskiej z serdecznemi życzeniami. Podpisany był nowy prezes Czytelni lwow. kolega Pepłowski, który jak nam donoszą, ma być człowiekiem daleko postępowszych zasad, niż poprzedni pr. Sawczyński. Może też za prezesury kol. Pepłowskiego żywsze życie obudzi się między młodzieżą tamtejszą, czego jéj szczerze życzymy. *F.*

Ze Lwowa.

Minęły, czy nie nadeszły jeszcze te czasy, w których lwowski korespondent pisma młodzieży poświęconego mógłby naznaczać fakta z życia téj młodzieży. Jak krzewy ogrodowe, chodowani w cieplarni wzniesionéj pieczołowitą ręką przydanych opiekunów, zagrzewani zaledwie letnią temperaturą opinji publicznéj, wegetujemy. Bądźmy wdzięczni raczéj, wszak to dla naszych osobistych jedynie celów i widoków, dla niczego więcéj. Brak wszelkiego społecznego, umysłowego i towarzyskiego życia w otoczeniu, z którego śmy wyszli, i namby się udzielił.

Dobrze jest choć sztucznie chodować to, co naturalnie rozwijać się nie może. Toć to wegetacya przecież, powiecie. Tak, ale w cieplarni: duszno, bo duszno, lepiéj jednak nie otwierać okien, zbyt wilgotno i mglisto naokół.

Wegetujemy więc, spoglądamy przez zapocone szyby na jednostajne krzątanie się naszego małego mrowiska, tym sposobem uczymy się życia obywatelskiego. Wy[illegible]ie wiecie dobrze, że metoda „poglądowa“ je[illegible]szą w tym względzie, o ile naturalnie polega n[illegible]m patrzeniu, a chroni od wyrabiania właś[illegible]w.

[illegible]zapatrujemy się na życie, jako na pod[illegible]y, nie wzbudza ono w nas żadnych [illegible]sza żadnych stron moralnych, nie ziębi, n[illegible]atki tylko wyprowadzają z niego wnioski, [illegible] w pamięci fakta, które się mogą zdać w p[illegible] „praktyce“.

Z[illegible]m więc pietyzmem przyglądamy się nowym [illegible]m do rady miejskiéj. Zabiegi, ambicyjki, tajemne i półjawne szkalowania, układy z „rewolwerami“ — w pełnym rozkwicie. Może z urny wyjdzie jaki nowy Kulczycki z konopi, który znów będzie brał za złe pokojówce ukończenie ósméj klasy wydziałowéj. Przyznam się wam w sekrecie, że mnie przynajmniéj wielką uciechą przejęło, gdym spostrzegł raz, jak młoda kucharka, b. uczennica szkoły dla sług, poprawiała dzienny rachunek swéj pani (konsyliarzowéj) tak w ortografii jak i w dodawaniu niezbyt wielkich cyfr W Konopiach inne mają gusta. A tu jak na złość napływ uczennic do szkół żeńskich ogromnie się zwiększa. Niemam statystycznych wykazów pod ręką, wiem jednak, że bieżącego roku przeszło 60 kobiet nie przyjęto do seminaryum z powodu braku miejsca. Niechby zwrócili na to uwagę niepowołani opiekunowie płci nadobnéj, którzy w sprawie swoich pupilek ograniczają się na przyzywaniu od czasu do czasu w dziennikach opieki policyantów, tego uniwersalnego lekarstwa, przeciw zaczepkami ulicznych Don - Juanów, jak gdyby przyczyna tego wstrętnego objawu nie leżała w naszéj młodzieży bez charakteru, w naszych kobietach, nie umiejących kazać się szanować. Ale ich to nie obchodzi, jak również nie baczą na to, by dziewczęta w letnich trzewikach nie musiały podczas mrozu chodzić do szkoły; by ta napełniła ich głowy prawdziwą wiedzą a nie baśniami średniowiecznych czasów, rozwijała samodzielność myśli, a nie ślepą wiarę w autorytety, by im nie wyrządzano materyalnéj krzywdy. Wiadomo, że Wydział Krajowy rozdziela stypendyja miesięczne w kwocie 4 a najwięcej 8 złr. i że przynosić stypendya do seminaryum obowiązany jest stróż zakładu. Otóż jegomość ten odciąga sobie od każdych 4 złr. 10 ct. Cóż na to dyrekcya? Warto jeszcze wspomnieć o prof. matematyki, z powodu jego słynnych z nadzwyczajnéj „oryginalności“ zadań, również o wykładach literatury polskiéj, w których się mówi by nie gor-

szyć uczennic, że „Maryli wybrankiem“ (?!) był A. Mickiewicz i t. p. dziwolągi.

Z sfer akademickich obecnie, jak zawsze, nie wiele do doniesienia. O wieczorku Mickiewicza już wiecie — zresztą pisać o nim nie ma co, chyba powtórzyć wszystkie frazesa „o miłości ku ideałom narodowym“ „o czci dla naszych geniuszów“, której pono najlepszą ilustracyą byłaby najczęściéj pusta sala podczas wykładów polskiéj literatury. U nas kwitnie zasada, że prawnik tylko prawo, filolog tylko filologię i nic więcéj studyować nie powinien; — i dziwić się że ukończony akademik staje się rzemieślnikiem swego zawodu, nie widząc po za tém nic z całego obszaru wiedzy, nie z wielkich jéj zagadnień; i „ludzie“ ci to „przyszłość narodu“.

Przypatrzmy się sprawozdaniu czytelni akademickiéj. Smutno ono bardzo wygląda.

Kółko matematyków gdzieś się „zapodziało,“ przyrodników, filologów, prawników w galopujących suchotach, nieco tylko życia w kółku historyków i literatów, bo tu najwięcéj można puszczać wodze własnéj fantazyi.

Cała Czytelnia liczy zaledwo członków 200 na 1000 z górą słuchaczów a z tych 58(!) nie poczuwa się nawet do obowiąsku zapłacenia w należytym czasie wkładki. I czyż dziwić się, że Czytelnia nasza w upadku — że nie może nawet porównać się z podobnémi towarzystwami w Czechach, że działalność jéj na zewnątrz, jéj wpływ równa się zeru? — Czasami śmiejemy się z Rusinów — bierzmy lepiéj przykład z ich towarzystwa Drużnyj Łychwiar (obecnie akademickie Bractwo), porównajmy nasze siły i ich, owoce naszych prac i to co oni zrobili. —

LIST DARWINA.

(Patrz: Die Naturanschauung von Darwin, Goethe und Lamarck... Ernst Haeckel. — Jena 1882).

Na ostatniem dorocznem posiedzeniu Towarzystwa przyrodników niemieckich w Eisenach miał Dr. Ernest Haeckel wykład, poświęcony pamięci nieodżałowanego Karola Darwina. Ze zwykłą bystrością poglądów i potoczystością dykcyi znakomity profesor jenajski skorzystał z téj sposobności, ażeby, obok złożenia hołdu cieniom wielkiego badacza i myśliciela, skreślić dzieje teoryi rozwoju i stwierdzić jéj olbrzymie postępy w ostatnich dwudziestu latach. Jeżeli walka w ogóle jest warunkiem życia, to walka o byt musiała się stać również udziałem téj teoryi, która właśnie wykazała w téj walce najdzielniejszy czynnik, prowadzący za pośrednictwem doboru przyrodniczego do wytwarzania wszelkich kształtów ustrojowych; ale zwycięstwo teoryi rozwoju w świecie naukowym jest już obecnie, mianowicie w Niemczech, tak zupełne, że Haeckel nie wacha, się uznać peryod walki za zamknięty i ogłosić poglądy zgasłego w ubiegłym roku męża za kamień węgielny wszelkiéj umiejętności. — Nie będziemy tu streszczali całego obszernego wykładu Haeckel'a, który zresztą jest tylko powtórzeniem myśli zawartych w jego dziełach, znanych jak mniemamy naszym czytelnikom, ale zwrócić musimy uwagę na jeden szczegół, który znakomicie przyczynia się do scharakteryzowania Karola Darwina, rzucając jasne światło na jego najwewnętrzniejsze przekonania.

Jak wiadomo, Darwin, oddany całą swą istotą ścisłym badaniom i wyprowadzaniu wniosków jedynie z faktów należycie sprawdzonych, miał wstręt do wszelkich mglistych spekulacyj i usuwał się od polemiki w kwestyach religijnych.

Skorzystano jednak z téj wstrzemięźliwości, ażeby po jego śmierci głosić, że Darwin był zawsze zwolennikiem religii objawionéj i gorącym wyznawcą kościoła anglikańskiego. — Haeckel zadał w swoim wykładzie cios tym twierdzeniom, przytaczając następującą okoliczność.

Pewien młody słuchacz wszechnicy jenajskiéj, nie mogąc pogodzić swych wyobrażeń religijnych z teoryami Darwina, udał się do niego listownie z prośbą o wyjawienie swego zdania co do nieśmiertelności duszy. Darwin, stary i schorzały, kazał mu odpowiedzieć przez jednego członka swéj rodziny, że jest zanadto przeciążony pracą, ażeby mógł odpowiedzieć na tak ważne pytania; gdy jednak młody człowiek udał się do niego powtórnie, błagając usilnie o usunięcie przygniatających go wątpliwości, otrzymał nareszcie upragnioną odpowiedź skreśloną własną ręką Darwina, następującéj treści:

Down, Beckenham — Kent 5 czerwca 1879.

Kochany Panie! Jestem bardzo zatrudniony, stary i chory, i trudno mi znaleść dość czasu, ażeby wyczerpująco odpowiedzieć na pańskie pytanie, przypuściwszy, że można na nie odpowiedzieć. Umiejętność nic ma nic do czynienia z Chrystusem; chyba o tyle, że zajęcie poszukiwaniami naukowemi czyni człowieka wymagającym pod względem dowodów. Co do mnie, nie wierzę, ażeby kiedykolwiek mogło mieć miejsce jakie objawienie. Co do życia przyszłego, każdy powinien zrobić dla siebie wybór między ogólnikowemi i sprzecznemi możebnościami.

Karol Darwin.

List ten odczytany przez Haeckel'a na wspomnianem posiedzeniu, sprawił wielkie wrażenie w Anglii.

Pietyzm anglikański, pod względem gorliwości nie ustępujący zelotyzmowi katolickiemu, czuł się tém bardziéj zgorszony, że właśnie naciskiem opinii publicznéj zmuszony został otworzyć podwoje Westminsteru zwłokom znakomitego przyrodnika, lubo dotychczas zamyka wrota parlamentu mężom wypowiadającym otwarcie swoje przekonania. Niejaki p. Ingleby umieścił w czasopiśmie „Academy“ artykuł, w którym wykazywał, że Haeckel przestawił dowolnie kropkę w liście Darwina, gdyż tenże chciał zapewnie tylko powiedzieć: „Nie wierzę ażeby kiedykolwiek mogło mieć miejsce jakie objawienie co do życia przyszłego.“ Nie ratowało to wprawdzie prawowierności Darwina, ale osłabiało znacznie kategoryczne zaprzeczene wszelkiego objawienia. W odpowiedzi na ten zarzut przesłał Haeckel redakcyi „Academy“ oryginalny tekst angielski, który pod względem interpunkcyi i toku myśli zgadza się w zupełności z podanem wyżéj tłómaczeniem:

To Nicholas Baron Mengden.

June 5, 1879.

Down Beckenham, Kent.

Dear sir, i am much engaged, an old man and out of health, and i cannot spare time to answer your

question fully — provided it can be answered. Science has nothing to do with Christ; except in so far, as the habit of scientific research makes a man cautious in admitting evidence. For myself, i do not believe that there ever has been any revelation. As for a future life, every man must judge for himself between conflicting vague probabilities.

Wishing you happiness,
I remain, dear sir, yours faithfully,
Charles Darwin.

List ten nie pozostawia zatem żadnéj wątpliwości co do przekonań Darwina, który w rozmowie z Büchner'em i Aveling'em, przytoczonéj w dzienniku „National Reformer." oświadczył wyraźnie swym gościom: „Moje zasady są waszemi, lubo przekładam nazwę agnostyka nad nazwę ateusza. Porzuciłem chrześcianizm dopiéro w czterdziestym roku mego życia, a porzuciłem go, ponieważ nie spoczywa na dowodach".

Jan Czarnecki.

NOWINY.

Prof. dr. Wróblewski zrobił ważne odkrycie, że kwas węglowy w szczególnych warunkach łączy się z wodą, tworząc wodnik bezwodnika węglowego w postaci szronu. Dr. Wróblewski zamierza określić warunki, w jakich mogłoby powstać połączenie jednéj części kwasu węglowego z jedną częścią wody, tudzież zbadać prawa rozpuszczenia kwasu węglowego w wodzie. Na doświadczenia te otrzymał autor subwencyę od krakowskiéj Akademii Umiejętności. Odkrycie znakomitego fizyka zwróciło na siebie uwagę uczonego świata.

Dr. Julian Ochorowicz bawiący obecnie w Paryżu, zbadawszy bliżéj działanie magnesu na opiłki żelazne i cynkowe, zastosował to odkrycie do telefonów z bardzo dobrym skutkiem. Reprezentant stowarzyszenia Bella traktuje z wynalazcą o nabycie jego tajemnicy.

Prof. dr. Mikulicz demonstrował na tutejszéj klinice chirurgicznéj wobec grona profesorów i lekarzy gastroskop przez siebie ulepszony. Cały ten aparat, nadzwyczaj zmyślnie złożony, jest nader cenną zdobyczą ostatnich lat; — zastósowano go z początku do badania tchawicy i przełyku, a usługi ważne, jakie na tém polu oddał, ośmieliły badaczów do wprowadzenia go aż do żołądka. Oświetlając nim ściany żołądka możemy z całą ścisłością badać ich anatomiczne i patologiczne stosunki i wykazać naocznie zmiany, których dotąd opierając się na całym szeregu objawów podmiotowych, przysłuchowych i wypadkowych z całą zwykle ścisłością domyślać się jednak tylko byliśmy skazani.

Dr. Szokalski obchodzi jubileusz swéj długoletniéj pracy. „Gazeta lekarska" dla uczczenia dobrze zasłużonego na niwie wiedzy sędziwego jubilata, ogłosiła konkurs na rozprawę: „O naukowem znaczeniu prac prof. Szokalskiego". Autor najlepszéj rozprawy otrzyma z rąk redakcyi 150 złr.

Lwowscy słuchacze prawa pod kierunkiem prof. dr. Roszkowskiego przetłómaczyli Neumann'a: „Wykład prawa narodów". Dzieło to wkrótce ukaże się na półkach księgarskich.

„Farmakologia" Nothnagela i Rossbacha wyjdzie wkrótce nakładem Gazety lekarskiéj.

Dr. K. Werner, mianowany profesorem literatury w Kopenhadze, rozpocznie odczyty o piśmiennictwie polskiém.

G. Sągajło wydaje w Paryżu ogromne dzieło o geometryi wykreślnéj, w polskim i francuskim języku.

„Wspomnienia" Renana drukowane różnemi czasy w „Revue des deux mondes" wyjdą wkrótce w całości w języku francuskim. Są w nich rzeczy ciekawe, rzucające światło na rozwój tego oryginalnego charakteru.

Orzeszkowa próbuje pióra w nowym kierunku. Drukuje w „Nowéj Refozmie„ — „obrazek rzymski" p. t. „Turia". Czy pióro, które narysowało niedawno z takiem ciepłem i prawdą „Ławicza" nada się do kreślenia umarłego świata klasycznego, zobaczymy...

Oglądaliśmy niezwykle *wesołą* publikacyę na niwie kalendarzowej: „Kalendarz Chrześcijański", z zupełnie wyraźną datą roku pańskiego 1883, w Warszawie wydany. Jest to curiosum. dziecię już w chwili urodzenia o kilka wieków postarzałe.

Nie potrzeba już proszku perskiego, „śmierć szczurom", i t. p. Kalendarz podaje na to miejsce stare ale niezawodne lekarstwo, exorcyzmy. Formuły przytoczone z całą dokładnością; skutek pewny. Daléj znajdujemy przepowiednie, przeczucia... I tak n. p. „pewien illuminat z Dortmundu" powiedział, że okropne wojny nastaną, gdy żołnierz pruski będzie tak ubrany jak ci co męczyli Pana Jezusa. A oto teraz wojsko pruskie dostało hełmy, i wafenroki do rzymskich tunik podobne. Zbliżają się straszne rzeczy!... Koniec świata jednakowoż prawdopodobnie osobno nastąpi dla miejscowości, które trzymają się starego stylu, a osobno dla tych, które przyjęły nowy. Te ostatnie obchodzić będą tę piękną uroczystość w roku 1886, w którym „Marcus paschabit, Antonius pentecostabit, Joannes coenabit." Ale „w okolicach gdzie dotąd stary styl zatrzymano, nie ma racyi tego się obawiać, jeśli w wyższych sferach taki porządek rzeczy uznany za prawny". Między „zdaniami moralnemi" jest jedno głębokie. Co odpowiedzieć pytającemu — „czy dajesz jałmużnę?" Powiedzieć „tak", to pycha, powiedzieć „nie", to bezczelny cynizm. Więc jest to pytanie, na które prawowierny Chrześcijanin nie odpowiada. Popatrzywszy na interpelanta zostawia go osłupiałego i odchodzi, założywszy ręce w kieszenie.

„Wierzcie, chcecież li temu. Nie kłamam, nie grzyszę,
Nie ja to, ale święty Fulgencyusz pisze".

NOWE KSIĄŻKI.

Dr. J. B. Oczapowski. Policyści zeszłego wieku i nowożytna nauka administracyi. — Warsz. 1882.

Dr. Leonard Piętak. Prof. Uniw. Lwowskiego. Prawo spadkowe rzymskie. Tom pierwszy. Lwów 1882. Cena 5 złr.

Dr. Stanisław Starzyński. Kilka kwestyi spornych z zakresu prawa politycznego. Lwów. 1882. (2 złr.).

Tenże. O tak zwaném ustawodawstwie tymczasowém. Studyum porównawcze z dziedziny prawa politycznego. Lwów 1883. (3 złr.).

Dr. Justyn Błoński. Zbiór austryackich ustaw i rozporządzeń skarbowych wraz z zasad. orzecz. władz austr. i tryb. administr. Część I. o podatkach stałych. Lwów 1883. (1 złr. 50 ct.).

Dr. Lotar Dargun. Prawo frankońskie i pr. światowe. Lwów. 1882.

Tenże. Zum Problem des Ursprungs der Ehe. (Archiv. für Anthropologie). Braunschweig 1882.

Dr. Miaskowski August. (profesor w Wrocławiu). Das Erbrecht und die Grundeigenthumsvertheilung im deutschen Reiche Leipzig 1882.

Dr. Roszkowski Gustaw. O azylach i extradycyi, ze szczeg. uwzględn. stosunków austr. węg. monarchii. (Bibl. Um. prawnych). Warszawa. 1882.

Dr. Feigl Longin. doc. Uniw. Lwow., lekarz sądowy: Podręcznik medycyny sądowéj. Lwów. (Stron 450).

J. Ulbrich (prof. w Pradze): Lhrb. d. oesterreichischen Staatsrechts. Berlin 1883. (Str. 815).

Dr. Ernst Haeckel. Der Naturanschauung von Darwin, Goethe und Lamarck. Jena 1882. (1 złr. 50 ct.).

Dr. Ernst Ziegler. Lehrbuch der allgemeinen und speciellen pathologischen Anatomie und Pathogenese. Jena 1882. (6 Marek). Ostatni zeszyt ma się pojawić w kwietniu 1883.

Dr. Robert Wiedersheim. Lehrbuch der vergleichenden Anatomie der Wirbelthiere auf Grundlage der Entwickelungsgeschichte. Jena 1882. (Cena 12 marek).

C. H. Bastian. Das Gehirn als Organ des Geistes. Tomów 2. (Intern. wissensch. Bibliot.) 1882. 12 Marek.

De Saporta und Marion. Die paläontologische Entwickelung des Pflanzenreichs (die Kryptogamen). (Inter. wiss. Bibl.) 1883. 5 Marek.

Le Conte. Die Lehre vom Sehen. (Inter. wiss. Biblioth.), 1883. (5 marek).

F. Cohn. Die Pflanze. Breslau. 11 marek. (Popularna botanika stojąca na stanowisku dzisiejszéj wiedzy, w szeregu luźnych wykładów).

Dr. Otto Taschenberg Die Verwandlungen der Thiere. (Bibl des Wissens der Gegenwart) 60 ct.

Dr. Mikulicz. O wpływie chirurgii nowoczesnéj na kształcenie uczniów w klinice chirurgicznéj. Kraków 1882.

Mieczysław Kowalewski. Przyczynek do historyi naturalnéj Oxytrichów przez . . . studenta wydziału nauk przyrodniczych Uniwersytetu Warszawskiego.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: **Dr. Jan Jodłowski.** — Drukarnia Związkowa w Krakowie. Zarządca A. Szyjewski.